
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, a także w roczniku „My, Sybiracy” wydawanym przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi.

Aktualnie relacje zesłańcze zgromadzone przez ten Oddział przekazane zostały do Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie utworzono Archiwum Sybiraków. Będą one stopniowo opracowywane i udostępniane na łamach „Zesłańca”, podobnie jak relacje znajdujące się w zbiorach Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Tadeusz Węgrzyński – „*A jeśli chodzi o Białystok...*”

W czasie wybuchu wojny mieszkaliśmy w Białymstoku przy ulicy Kochanowskiego 21. Rodzice mieli domek. W czterdziestym roku, 13 kwietnia nad ranem (to była trzecia rano), sąsiadka powiadomiła nas, że Sowieci wywożą wszystkie rodziny w nieznanym kierunku. Wyszliśmy z domu, chodziliśmy po ulicach, ciemno jeszcze było, bo to był kwiecień, ale już zaczęło widnieć. Trzeba było wracać do domu, nie wiedzieliśmy, co się stało.

Gdy tylko wróciliśmy do domu, podjechał samochód, wysiedli Sowieci i okrążyli nasz dom. Mama zaczęła się pakować jeszcze zanim weszli, bo była pewna, że nas zabiorą. Jeden oficer sowiecki wszedł do domu, spojrzał na mamę i mówi:

- Chazajka¹, pakujecie się?
- A tak.
- A gdzie wy pakujecie się?
- Słyszałam, że nas wywożą do muża².

¹ Chazajka (jęz. rosyjski) – gospodyni.

² Muż (jęz. rosyjski) – mąż.

– Ano tak. No to pakujcie się, macie piętnaście minut na spakowanie się.

W domu w tym czasie byłem ja, mama i starsza siostra; brata nie było, bo on trochę handlował wódką, jeździł z nią do Brześcia. Nad ranem wrócił i zobaczył, że nasz dom okrażony i widział, jak nas wywożą, ale nie wszedł do mieszkania. Spakowaliśmy się... Załadowali nas na samochód i zawieźli na Hetmańską, pod tunel. Tam wagony stały, załadowali nas na wagony i jechaliśmy prawie miesiąc, aż dojechaliśmy do Pawłodaru.

Tam [...] nas zakwaterowali na takim stadionie i z tego stadionu – podjeżdżały [tam] ciężarówki – nas rozwozili po sowchozach³ i po kołchozach⁴. Myśmy trafili z mamą do sowchozu, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Pawłodaru. To była „Ferma numer dwa” – tak się nazywała. Umieścili nas w lepiance. W lepiance umieszczano po trzy czy cztery rodziny.... To była taka pół-lepianka, pół-bunkier, mieszkaliśmy w nim półtora roku. Był taki mróz...

Nie wiedzieliśmy, co się dzieje w Polsce, w Białymstoku.

Mój brat miał na imię Napoleon. Jak zobaczył, że nas wywieźli, to nie wiedział, co robić. Mielśmy rodzinę w Warszawie, więc on pomyślał, że do niej się przedostanie. Przeszedł przez granicę. Przez Małkinię⁵ i poszedł do Warszawy. Był dwa tygodnie w Warszawie, zorientował się, co jest w Warszawie, ale martwił się, co z domem, i postanowił wrócić. Jak przechodził z powrotem granicę, to złapali go Sowietci. Złapali – *szpion!* Wsadzili go do więzienia w Łomży. Siedział tam prawie pół roku, chorował między innymi na tyfus. Dostał w końcu wyrok – piętnaście lat więzienia, i go też wywieźli do Rosji, ale aż pod Archangielsk. Myśmy o nim nic nie wiedzieli i on nie wiedział nic o nas, gdzie jesteśmy...

Brat koniecznie chciał uciekać. Umówił się z kolegą. Chcieli się przedostać do Chin, iść do Mongolii, ale złapali ich Ruskie⁶. Złapali go, ale on znał już trochę język rosyjski i zrozumiał, co rozkazał dowódca żołnierz: *Weź wyprowadź tam do lasu i rozstrzelaj go, żeby tu nie słychać było.* Była to zima, więc kiedy żołnierz ruski prowadzący go przez las potknął się i upadł, brat uciekł. Żołnierz zerwał się, strzelił raz do góry i krzyczał: *Stoj!* Brat, nie zważając na to, uciekał przez las. Niedaleko była kolej, udało mu się wskoczyć do wagonu i odjechać. Jak się tworzyła Armia Andersa, zgłosił się do Koczytaw⁷... W tej miejscowości był werbunek. Tak trafił do Armii Andersa i z nią przeszedł szlak bojowy. Był pod Monte Cassino, tam został ranny. Pod Monte Cassino był z kolegą, razem w okopach leżeli. Przed atakiem kolega martwił się i mówi: *Sluchaj, czy my wrócimy do Polski?* A Napoleon uspokajał go: *Na pewno wrócimy. Nie martw się.* Niestety, chwilę po tej rozmowie uderzył pocisk artyleryjski. Kolega zginął na miejscu, a brat został ranny i trafił do szpitala we Włoszech.

³ Sowchoz – państwowe gospodarstwo rolne w gospodarce sowieckiej.

⁴ Kołchoz – rolnicza spółdzielnia produkcyjna w gospodarce sowieckiej. Formalnie rolnicy byli właścicielami ziemi przekazywanej do kołchozu.

⁵ W latach okupacji sowieckiej w pobliżu Małkini przebiegała granica niemiecko-sowiecka. Samo miasto znajdowało się po „niemieckiej” stronie.

⁶ Kolokwialna nazwa Rosjan.

⁷ Właśc. Kokczetaw.

My w tym czasie byliśmy w sowchozie i nic o bracie nie wiedzieliśmy. Ale jak się tworzyła Armia Andersa, to nam zrobiło się źle. Pozwolono podróżować i wyjechaliśmy do Pawłodaru, i tam mama zatrudniła się w tak zwanej arterii[?]⁸. Przędła wełnę kołowrotkiem, a potem z niej robiła rękawice i skarpety dla żołnierzy.

Miałem dwanaście–trzynaście lat i też musiałem pracować. Na początku pomagałem przy zbieraniu zboża, jeździłem wozem z koniem, a potem pasłem krowy. To była dość ciężka praca, bo to były stępy, wszystko wyschnięte, krowy nie miały co jeść. Ganiałyśmy je około dwadzieścia kilometrów dziennie w step. Tam pracowałem jakieś dwa lata. Potajemnie dołem te krowy i w takim pęcherzu przynosiłem do domu mleko. To było dodatkowe wyżywienie. Moja siostra Eugenia była trochę starsza. Kazali jej przyjąć obywatelstwo ruskie, ale ona, jako patriotka, nie przyjęła. Mama musiała przyjąć ze względu na mnie, bo jeszcze mały byłem. Dużo ludzi starszych przyjęło, a młodzież nie! No i ją [Eugenię] aresztowali i wywieźli do Czelabińska. Dostała za nieprzyjęcie obywatelstwa wyrok, prawdopodobnie cztery lata więzienia. W Czelabińsku pracowała bardzo ciężko – młoda dziewczyna (miała dziewiętnaście–osiemnaście lat) pracowała przy wykopach... Wróciła do Polski w 1946 r., pojechała do Wrocławia i tam zamieszkała po powrocie. My wróciliśmy też w czterdziestym szóstym, ale do Białegostoku. To tak króciutko...

Tam w Kazachstanie, w Pawłodarze, utworzyli polską szkołę⁹, ale już jak powstawała Armia Andersa, ja tam mało chodziłem, może z pół roku wszystkiego... Czy rok tylko.

Po jakimś czasie, jak tworzyli Armię Kościuszkowską¹⁰, to już można powiedzieć było źle, bo dostawaliśmy paczki „unrowskie”¹¹, to na przeżycie. A jak już wróciliśmy do Białegostoku, to też te paczki unrowskie dostawaliśmy, jako repatrianci.

Na początku Kozacy – Kirgizi byli wrogo nastawieni do ruskich, bo jak nastawała władza sowiecka, to, jak to się mówi – ich rozkułaczyli. Pozabierali wszystko, bo oni hodowali barany, konie. Jak pozabierali, to był straszny głód w trzydziestym którymś roku. To ja jeszcze do dnia dzisiejszego pamiętam te *pasiołki* – tak zwane fermy, opustoszałe, bo ludzie padali jak muchy, z głodu.

⁸ Niewyraźnie wypowiedziane słowo.

⁹ Po wznowieniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską i Związkiem Sowieckim w miejscach osiedlenia Polaków tworzono polskie szkoły. W 1943 r. za zgodą Józefa Stalina powstał Związek Patriotów Polskich, który założył sieć szkół z polskim językiem nauczania, ale edukujących w duchu sowieckim.

¹⁰ 8 V 1943 r. w Moskwie ogłoszono komunikat informujący o zgodzie władz radzieckich na propozycję Związku Patriotów Polskich dotyczącą powołania jednostki polskiej niezależnej od rządu londyńskiego i naczelnego dowództwa Polskich Sił Zbrojnych. W ten sposób powstała 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, potocznie zwana Armią Kościuszkowską. Jej dowódcą mianowano gen. Zygmunta Berlinga.

¹¹ UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration – Administracja Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy i Odbudowy) - międzynarodowa organizacja utworzona działająca w latach 1943-1947, świadcząca pomoc ludności dotkniętej tragedią II wojny światowej.

To Kozacy z początku wojny chcieli, żeby Niemcy przyszli. Chcieli sowiecką władzę obalić. Bo jak Niemcy podeszli pod Moskwę i trochę zajęli terenów na Kaukazie, to do nas przywozili (do Pawłodaru) Czeceńców. Przywozili ich w wagonach zimą. Pamiętam, jak stali, mróz, a oni nic nie mieli ze sobą, w samych ubraniach ich przywozili do nas. Czeceńcy chcieli się oswobodzić, ale potem, jak Sowietci odbili te tereny, to Stalin ich wszystkich na Sybir powywoził.

A potem zmieniły się stosunki dlatego, że Niemcy zaczęli postępować bestialsko. Te obozy... Propaganda była wielka. Filmy pokazywali, pamiętam, jak to Niemcy mordują i tym podobne. Trochę się to zmieniło...

Jeśli chodzi o nas, to z początku ooo! *Polskie pany przyjechały*... Byli wrogo nastawieni, ale potem przekonali się, że relacje są inne...

Specjalnie to nam nie pomagali. To, co myśmy mieli, wymienialiśmy na zboże. Jakies tam prześcieradła czy jakies serwetki – to można było wymienić. Koło nas były duże tak zwane *pasiołki* niemieckie – z pierwszej wojny światowej, bo tam powywozili też Niemców. Im tam troszeczkę lepiej się powodziło. Mama, jak miała jakas makatkę czy nie-makatkę, to dostawała dwa–trzy kilo mąki za to. Tak się przeżywało. Ale warunki mieliśmy okropne... W Pawłodarze mieszkaliśmy koło Irtysza, to jeździłem – jako chłopak, zimą – przez zamrznięty Irtysz na drugą stronę i zbierałem chrust, żeby palić. A mieszkanie... Tam, mieszkanie! Taki pokoik był, w którym zamarzało wszystko, zupa, nie zupa – wszystko zamarzało. Piętnaście, szesnaście stopni w mieszkaniu. To, co człowiek miał, to spał w tym, okrywał się, a na ścianach dwa–trzy centymetry szronu.

Jeśli chodzi o mnie, to ja chorowałem. Malarię miałem, to mnie do szpitala wzięli i jakoś wyszedłem z tego. Chorowałem też na dezynтеріę. Bardzo dużo ludzi umarło tam na dezynтеріę. Z krwią człowiek się załatwiał. A jeśli chodzi o mamę, to jakoś nie chorowała. Młodą kobietą jeszcze była. Ja miałem dwanaście–trzynaście lat, to różnie było, ale jeśli chodzi o zachorowanie na grypę czy coś, to nie. To był ostry, suchy klimat – lato było gorące, a zimą były mrozy.

Myśmy nie mieli żadnych rozrywek. Nic! Ja nie miałem czasu, pracowałem od świtu do nocy. To człowiek zmęczony. A zresztą, nie było nawet w czym chodzić. Jak pasłem krowy, to miałem tak zwane *czirki*. Na nogi się zakładało świeżą skórę wołową, moczyło się, nakładało się, a potem z biegiem czasu ona wysychała, że aż nogi skręcało. Straszne było chodzenie w nich...

Jeśli chodzi o burany, to jak mieszkaliśmy w tym kołchozie, zima w czterdziestym pierwszym roku czy w czterdziestym drugim była sroga. Okropna zima, mróz. Zawiewało nas, jak buran przyszedł, zawieje śnieżne, zawiewało wszystko i to okienko też. Nie wiedzieliśmy, kiedy była noc, a kiedy dzień. Zawiało! Bo na tym rzecz polegała, że przeszkodą były nierówności terenu. Step czasami był czyściutki, nie było na nim nic. Ale jak napotkał ten buran śnieżny jakies nierówności, to zasypywał równo, tak samo i nas. [W lepiance] robiliśmy otwory w suficie, taki korytarzyk, żeby wyjść na wierzch i odkopać okienko, ale to okienko to się odkopywało raz na godzinę, na dwie, bo je zasypywało. Tunele się robiło, żeby wyjść.

A jeśli chodzi o ten pokój, to nas mieszkało trzy rodziny. Trzy rodziny po cztery osoby...

Malecka¹² to jeszcze jest tutaj w Białymstoku, chyba jeszcze żyje. Dróżdżowa¹³ – wiem, że nie żyje. Malecka, to z dziećmi kiedyś ją widziałem, ona jest Sybiraczką, tak. Jeszcze jedna była – już nie żyje, żona policjanta ze Starosielc, ale nazwiska nie pamiętam. I jeszcze był Tykocki Bogdan¹⁴. On na Mickiewicza mieszka z rodziną. Nie był w tej samej fermie, ale był w Pawłodarze. Znamy się. Potem – Pluta¹⁵, on był w Pawłodarze.

Powiadomili nas, że mamy wrócić do Polski. I nawet dość przychylnie się ustosunkowali. Jak pracowałem, to miałem duże zaległości z wypłatą. A nam nie płacili rublami, tylko obligacjami jakimiś. To kazali nam wypłacić te wszystkie zaległości. Dostaliśmy te obligacje, dość dużo ich było – za dwa czy trzy lata pracy. Ale te obligacje to nam zabrali na granicy, jak wracaliśmy. Z nimi nie można było wjechać do Polski, twierdzili, że lepiej, żebyśmy oddali te obligacje.... Nie zostawili nic.

W Pawłodarze postawili wagony, cały transport. Każdy załadował się jak mógł... Prawie miesiąc jechaliśmy. Wieźli nas nie do Białegostoku. Nasz transport szedł do Warszawy, z Warszawy do Kutna. Jak ktoś chciał, jechał dalej, na zachód. Myśmy wysiedli w Warszawie. W Warszawie dostaliśmy się na Pragę, z Pragi pociągiem do Białegostoku. Ale dużo rodzin pojechało na zachód albo w inne strony.

A jeśli chodzi o Białystok, to tragedia.... Centrum miasta było zniszczone. Nasz dom jakoś ocalał, bo to dzielnica Piaski. Przy ulicy Kopernika, Bema, Kochanowskiego – niezniszczone były, ale centrum Białegostoku było bardzo zniszczone. Gruzy, gruzy, gruzy...

Jak wróciliśmy do Białegostoku już po wojnie, nie wiedzieliśmy nic o tacie, ale już poszła pogłoska, że wszyscy jeńcy wojenni, którzy byli w Starobielsku, Ostaszkowie, zostali rozstrzelani. I w czterdziestym szóstym mama starała się, bo dom był zapisany na ojca, żeby sędownie własność przeszła na mamę i na nas – na dzieci. I dostaliśmy metrykę zgonu ojca. Metryka opiewała, że ojciec zmarł dziewiątego maja czterdziestego piątego roku, bo to jest zakończenie wojny światowej. Nie podali daty śmierci, tylko.... A że ojciec był w Ostaszkowie, to wiedzieliśmy, bo napisał trzy listy. Dostaliśmy pocztówkę i dwa listy – w czterdziestym roku, ostatni był w czterdziestym roku. A potem ślad zaginął...

Nas zostawili w stepie, przy ziemiance i rób sobie co chcesz! Samochody odjechały. Kilkanaście rodzin przywieźli. Kirgizi tylko tam byli. I tu możecie mieszkać... Tam były takie lepianki opuszczone, nie wiem, czy to

¹² Prawdopodobnie chodzi o Alicję Malecką deportowaną 13 kwietnia 1940 r. do obwodu pawłodarskiego.

¹³ Nazwisko wypowiedziane bardzo niewyraźnie.

¹⁴ Bogdan Tykocki został wywieziony na Syberię jako dziesięcioletnie dziecko 13 kwietnia 1940 r. Przebywał w obwodzie pawłodarskim do 13 marca 1946 r.

¹⁵ Prawdopodobnie chodzi o Mieczysława lub Waldemara Plutę. Byli synami Wojciecha Pluty, przedwojennego policjanta, więźnia Ostaszkowa, zamordowanego przez NKWD 6 kwietnia 1940 r. w Twerze. Bracia od 1940 do 1946 r. przebywali na zesłaniu w Pawłodarze.

przygotowane dla nas, czy nie... gałęzie oblepiane łajnem krowim. Myśmy tym też palili, bo tam nie było żadnego opału, nic! Tam ani drzewka, ani nic nie było, tylko sam step. A na stepie to tylko trochę rosło pszenicy i te arbuzy... Arbuzów to była masa. No i wypas. Trochę było baranów, krów, i to wszystko*.

Opracowanie: Monika Szarejko i Magdalena Zięćkowska-Tuchlińska

*Tadeusz Węgrzyński urodził się 15 III 1929 r. Razem z matką Józefą i starszą siostrą Eugenią był deportowany 13 IV 1940 r. z Białegostoku do Kazachstanu (sowchoz Czarnorycki, ferma nr 2, obwód pawłodarski). Do Polski powrócił w 1946 r. Relacja znajduje się w archiwum Muzeum Pamięci Sybiru.

*

Teresa Nowak – Wspomnienia z Kazachstanu (1951-1956)

Urodziłam się 19 lipca 1939 roku w miejscowości Jurewicz, powiat Grodno. Przed II wojną światową mieszkałam tam z rodzicami i rodzeństwem: siostrą i bratem. Rodzice – Feliks i Klementyna – mieli gospodarstwo rolne wielkości 20 hektarów.

W czasie II wojny światowej mój ojciec należał do Armii Krajowej. Nasze ziemie znajdowały się najpierw pod okupacją radziecką, potem niemiecką, a od 1944 r. znów radziecką. W 1945 r. rozpoczęła się nasza gehenna – przesładowania Polaków działających w AK. Ojcu i bratu matki udało się przedostać przez granicę radziecko-polską i przez Białystok wyjechali do Łodzi, gdzie ojciec spotkał znajomego księdza i ten ułatwił mu ukrycie się w klasztorze Ojców Franciszkanów w Łagiewnikach. W tym klasztorze pracował prawie do końca życia, bał się wracać, by nie zostać odkrytym. W Jurewiczach została matka, rodzeństwo i babcia z dziadkiem – oboje po około 85 lat. Codziennie albo i dwa razy dziennie mieliśmy rewizję. Żyliśmy w okropnych warunkach. Dlatego też zmarła moja siostrzyczka Alicja – miała dwa i pół roku. Pół roku po niej na dyfteryt zmarł brat Marian – miał pięć lat. Mama była załamana, a w dodatku ja też zachorowałam, ale po pobyciu w szpitalu w Grodnie wyzdrowiałam.

Nakładano na nas bardzo wysokie podatki, których mama nie była w stanie zapłacić. Wytoczono jej proces, a ponieważ nie stawiła się na ostatniej rozprawie, dostała zaoczny wyrok 10 lat pozbawienia wolności. Potem ukrywała się, a ja czas spędzałam u krewnych. Przechodziłam z rąk do rąk, aby za długo nie być ciężarem dla jednych.

Od 1951 r. rozpoczęły się wywózki Polaków. Wywieziono prawie wszystkich mieszkańców Jurewicz. Pierwszy transport odbył się zimą 1950/1951 r., a my pojechaliliśmy drugim transportem – w połowie kwietnia lub maja 1951 r. Mamę aresztowano i przewieziono na stację, mnie także dowieziono, byłam wtedy u babci. Byliśmy najbiedniejsze z tego całego transportu, ponieważ nic nie zdążyliśmy wziąć, tylko ciocia zdążyła podać nam koc.

Przed samym wyjazdem przebywałyśmy w Skidlu (nie duże miasteczko w powiecie grodzieńskim, ok. siedmiu kilometrów od Jurewicz). Na stację – nie pamiętam na jaką – zawieziono nas w nocy. Nie ruszyliśmy od razu, staliśmy tam jeszcze około 24 godzin. Jechaliśmy w wagonach towarowych, wyposażonych tylko w prycze, za ubikację służyła dziura wybita w podłodze.

Początkowo myśleliśmy, że wiozą nas na Syberię, ale później zorientowaliśmy się, że jedziemy do południowego Kazachstanu. Nasz transport najpierw skierowano w kierunku Buchary (Uzbecka SRR – W.M.). Jechaliśmy 15 dni, wiele osób umarło z głodu i wycieńczenia. Do jedzenia dostaliśmy tylko dwa razy jakąś okropną zupę, a poza tym tylko wodę.

Gdy przyjechaliśmy do Taszkientu (Uzbecka SRR – W.M.) byliśmy u kresu wytrzymałości. W Taszkencie Uzbeki porozdzielali transport. Po 8-10 rodzin załadowali na ciężarówki. Zawieziono nas do kołchozu im. 1-ego Maja – obwód południowokazachski, rejon pachtaarski, osada Sławianka (Kazachska SRR – W.M.). Po opuszczeniu ciężarówek przeczytano nam wyrok. Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy wrogami ZSRR, że teraz możemy robić, co nam się żywnie podoba, możemy pracować lub nie pracować, jesteśmy jednym słowem wolni. Powiedziano nam: „Tak swojego ucha nie zobaczycie, tak i swojej Polski nie zobaczycie”. Zabrano nam dokumenty, a raz na tydzień musieliśmy osobiście potwierdzać swój pobyt, nie mogliśmy przekraczać odległości trzech kilometrów od naszej miejscowości. Zresztą wszędzie dookoła była pustynia, więc ten zakaz był właściwie zbyteczny.

No i zostawiono nas. Nie wiedziałyśmy z mamą, co ze sobą zrobić, byłyśmy głodne, wycieńczone, nie miałyśmy pojęcia, gdzie się udać, gdzie szukać pomocy. Zauważyłyśmy maleńką chatkę i do niej skierowałyśmy się. Mieszkała tam pewna Rosjanka, bardzo inteligentna i dobra kobieta, z córką, zięciem i wnuczką. Zgodziła się nas przyjąć, ale tylko na podwórko, bo w ich małym mieszkaniu nie było dla nas miejsca. Dała nam trochę mąki, ale nie miałyśmy w czym ugotować sobie jedzenia. Byłyśmy przerażone takimi warunkami. Dostałyśmy od mieszkańców stare, drewniane łóżko, postawiłyśmy je pod płotem i spałyśmy na nim.

Musiłyśmy z czegoś żyć, zgłosiłyśmy się do pracy do kołchozu. Pracowałyśmy na plantacji bawełny. Była to ciężka praca. Kilometrowe rzędy bawełny musiłyśmy pielć ogromnymi motykami. Pola były sztucznie nawadniane, ponieważ deszcze nie padały od maja do października.

Mogę powiedzieć o sobie, że miałam szczęście, ponieważ ulitowała się nade mną miejscowa nauczycielka. Jej mąż poszedł do wojska, a ona została sama z małym dzieckiem. Wzięła mnie do siebie i w zamian za opiekę nad dzieckiem mogłam u niej nocować. Kupiła mi trochę rzeczy do ubrania, i co najważniejsze – już nie głodowałam. Dzięki niej mama nie musiała troszczyć się o moje wyżywienie, mogła myśleć tylko o sobie. Gdy przyszła zima, mama spała w obórce tej Rosjanki. Zimy na szczęście nie były mroźne, temperatury minimalne wynosiły 0° do -2° Celsjusza. Padało jednak dużo deszczu.

Oprócz nas, Polaków, było tam dużo przedstawicieli innych narodowości, a przede wszystkim dużo Czezeńców. Wszyscy się ich bardzo bali, ponieważ znani byli ze swojej porywczosci, wojowniczości, zawadiactwa i łatwo przychodziło im zadawanie śmierci. Jestem do nich bardzo uprzedzona i dlatego też teraz, gdy trwa wojna i oni są właściwie bardzo pokrzywdzeni, nie potrafię im współczuć. Po śmierci Stalina w 1953 r. Czezeńcy wrócili do ojczyzny. Zostały po nich biedne lepianki, bez drzwi i okien, ale my Polacy pozajmowaliśmy je, w każdej po dwie polskie rodziny. Ja i mama

zamieszkałyśmy też z jakąś kobietą i jej córką, a jej męża i synów – 19 i 21 lat – zamordowali Rosjanie. Nadal żyło się ciężko, często cierpiełyśmy głód.

Chodziłam do rosyjskiej szkoły, ale uczono w niej też języka niemieckiego. Skończyłam sześć klas. Szkoła reprezentowała niski poziom, trzeba było pracować. Płacono nam przeważnie mąką, więc jadałyśmy głównie zacierki. Na nic innego nie miałyśmy pieniędzy, zresztą trudno było kupić cokolwiek, brakowało chleba. Był tylko jeden mały sklepik, do którego towar dowożono raz w tygodniu, albo i rzadziej. Dodatkowo, gdy przyszedł wakacje, dzieci były wywożone do pracy przy bawelnie. Pracowaliśmy w kołchozie o nawie „Pobieda”, nie było tam jednak żadnej osady, dzieci spały w namiotach, cały dzień na słońcu musiały pracować. Upały latem były okropne, temperatura dochodziła do 50°C.

Byłam u kresu sił, zachorowałam na krwawą dyzenterię. Wzięto mnie do szpitala mieszczącego się w zwykłych barakach. Z braku miejsc na jednym łóżku spały czasem po trzy osoby. Miałam spaloną i popękaną skórę, miałam wszy i byłam w ogóle strasznie brudna, ponieważ rzadko myłyśmy się. Leżąc w szpitalu, modliłam się o koniec tej męczarni. I wtedy przyszedł kierowca, który pracował na pustyni razem z nami i powiedział mi, że wracam do Polski. Był to lipiec 1956 r. Po natychmiastowym zwolnieniu ze szpitala i z pracy tenże kierowca zawiózł mnie do naszego kołchozu. Matka zobaczywszy mnie tak chorą, przeraziła się, bo umieralność wśród dzieci i dorosłych była bardzo duża. Termin wyjazdu ustalono na koniec sierpnia, a my nie miałyśmy w ogóle zaoszczędzonych pieniędzy ani dokumentów.

Człowiekiem, który najbardziej nam pomógł w zorganizowaniu wyjazdu, był Andrzej Fojnicki – ok. 50 lat, wykształcony. Do ZSRR została wywieziona cała jego rodzina z tym, że jego żonę z dwójką dzieci wywieziono do Kazachstanu, a jego na Syberię. Wybłagał u władz możliwość odbywania zesłania razem z rodziną i przyjechał do niej z Syberii. Pojechał do Ałma-Aty, żeby wyrobić nam dokumenty. Dokumenty te: metryki i dowody osobiste wydawane były w języku kazachskim. My z mamą nie miałyśmy pieniędzy. Pan Fojnicki zorganizował składkę, by jechać mogli wszyscy, także ci najbiedniejsi. Załatwił transport kolejowy w Taszkencie. Dzięki niemu wyjazd został zorganizowany bardzo szybko.

Rosjanie w Kazachstanie traktowali nas cały czas przyjaźnie i gościnnie. Na drogę do naszej Rosjanki dostałyśmy woreczek suszonego chleba i jeden kg cukru. Miało to nam wystarczyć na dwa tygodnie, bo na tyle obliczaliśmy czas podróży powrotnej. Tymczasem jechaliśmy miesiąc, ponieważ przetrzymywano nasz transport na stacjach po kilka dni. Ci, którzy mieli pieniądze, mogli sobie coś kupić. My nie. Podejrzewałyśmy, że nie damy rady dojechać, tym bardziej, że warunki podróży powrotnej nie różniły się od warunków w jakich jechaliśmy do Kazachstanu. Jechaliśmy w wagonach towarowych po ok. 25 rodzin w jednym wagonie, cały czas więc trzeba było stać. Gdy 6 września 1956 r. dojechaliśmy do Białej Podlaskiej (jechaliśmy przez Brześć), traciłam już przytomność.

Po przyjeździe do Polski mama wysłała telegram do ojca do klasztoru, by przyjechał do nas. Tak właściwie nie byłyśmy nawet pewne, czy go tam zastaniemy, czy ojciec dalej tam mieszka, czy nie założył nowej rodziny. Jego

adres w Łagiewnikach miałyśmy dzięki jednemu listowi, który dotarł do nas do Kazachstanu za pośrednictwem rodziny z Białorusi. Zaraz na drugi dzień przyjechał ojciec, ale nie mógł nas zabrać, bo byłyśmy tak bardzo wycieńczone. Dlatego wynajął nam pokój gdzieś w pobliskiej wsi, byśmy się podleczyły i nabrały sił. Mieszkałyśmy tam dwa tygodnie. Najgorzej było z jedzeniem, to znaczy byłyśmy tak wygłodzone, że trudno było wrócić nam do normalnego sposobu odżywiania się.

Potem pociągiem pojechałyśmy do klasztoru, w którym pracował ojciec. Miał tam jeden pokoik, teraz dostał dwa z kuchnią. Rodzice znaleźli pracę w sanatorium w Łagiewnikach, w szpitalu chorób płuc. Ja skończyłam szkołę podstawową, potem średnią w Zgierzu. Po szkole poszłam do pracy. Pracowałam w trzech różnych zakładach w Łodzi. Po 35 latach pracy poszłam na emeryturę – obecnie jestem już czwarty rok po pracy. Wyszłam za mąż w 1961 r., mam jedną córkę, zięcia i dwoje wnucząt. Mój mąż jest wychowawcą w domu poprawczym.

Bardzo dużo choruję na serce, mam osteoporozę, całkowite odwapnienie kości, już od wczesnej młodości mam owrzodzenie dwunastnicy. Przeszłam sześć operacji i ciągle się leczę. Obecnie połowę emerytury wydaję na lekarstwa. Wszystko to „zawdzięczam” Kazachstanowi. Niedawno pojechałam w rodzinne strony, aby odwiedzić mogiły mojego małego rodzeństwa, a tam – ani śladu jakichkolwiek grobów*.

* Relacja Teresy Nowak (z domu Jurowskiej) została nagrana 21 stycznia 1995 r. przez Franciszka Walinowicza, a następnie spisana przez Katarzynę Gorgolewską. W Archiwum Sybiraków UŁ nosi sygnaturę R-114. Jest to zapis przeżyć dziewczynki, która mając 12 lat została wraz z matką deportowana z rodzinnej Grodzieńszczyzny do Kazachstanu. Odbywające się wówczas wywózki miały związek z przeprowadzaną przez Sowieców akcją przymusowej kolektywizacji¹⁶. Warto dodać, że Polacy na ziemiach Polski wcielonych do Związku Radzieckiego byli wówczas ofiarami różnych form represji, w wyniku których wywożono ich w głąb tego państwa. Przykładowo w 1951 r. deportowano na Syberię (głównie do obwodu irkuckiego) ok. 4,5 tys. członków rodzin byłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Sami żołnierze byli natomiast skazywani na wysokie kary uwięzienia w łagrach (np. na Workucie)¹⁷. Całkowity bilans wywozek z byłych polskich Kresów Wschodnich w głąb ZSRR na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX w. nie jest jeszcze dokładnie obliczony. Zapewne obejmuje jednak o wiele więcej osób, niż przytoczona liczba represjonowanych członków rodzin tzw. „andersowców”.

Prezentowane wspomnienia są interesującym świadectwem powojennych, mniej znanych sybirackich przeżyć Polaków. Autorka zrelacjonowała kolejne etapy represjonowania jej rodziny, które zakończyły się deportacją. Należy wyjaśnić, że – jak podaje Teresa Nowak – ostatnim przystankiem transportu z zesłańcami okazał się Taszkient w Uzbeckiej SRR, skąd przewieziono ich do rejonu pachtaarskiego (obecnie maktaarskiego) w obwodzie południowokazachskim (obecnie

¹⁶ Szeroko o tym problemie zob. w: M. Ruchniewicz, *Wieś zachodniobiałoruska 1944-1953. Wybrane aspekty*, Wrocław 2010.

¹⁷ Więcej patrz: J. Grzybowski, *Powojenne losy żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie po powrocie na Białoruś*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2007, nr 6/1 (11), s. 227-243; N. Ablazhey, L. Salakhova, *Репатрианты-андерсовцы в Иркутской ссылке*, „Wrocławskie Studia Wschodnie” 2018, nr 22, s. 61-76.

turkietańskim) Kazachskiej SRR. Wybór stacji końcowej podyktowany był zapewne bliskością miejsca docelowego zsyłki – odległość z Taszkientu do graniczącego z Uzbekistanem rejonu była o wiele mniejsza niż z ówczesnej stolicy obwodu – Czymkientu (obecnie Szymkientu).

Następująca po śmierci Stalina stopniowa korekta kursu opresyjnej dotąd polityki władz radzieckich wobec Polaków skutkowałą możliwością ich repatriacji. Z tej szansy skorzystała Autorka, która wraz z matką znalazła się w Łodzi. Jednak trwająca aż pięć lat sybiracka poniewierka pozostawiła na jej zdrowiu poważne rysy.

Tekst relacji został poddany nieznacznej korekcie redakcyjnej. Zachowano jednak oryginalny styl wypowiedzi Autorki.

Wojciech Marciniak